

Diariusz Sesyjny

Wojciech Marchaj

December 27, 2005

*Tobie,
któremu wymyka się to
wszystko już spod kontroli...*

Od autora

Tekst ten, diariusz z pewnego gorącego, acz zimowego, okresu mojego dziewiątego semestru na studiach, napisałem wtedy uświadomiwszy sobie, że czegoś takiego, co wówczas przeżywałem, nie chcę już nigdy przeżywać. Dlatego postanowiłem to doświadczenie "eksplozji zajęć" wtedy unieśmiertelnić, by o tym nie zapomnieć, by nie pozwolić na *deja vu*. Do dzisiaj się sobie dziwię, że przez własną krótkowzroczność, dałem się w coś takiego wciągnąć i jednocześnie jak to się stało, że wylazłem z tego prawie bez szwanku.

To mój drugi z tekstów, po *Autostradniku* pisanych w konwencji "na gorąco" (znamienne, tamto też skończyło się szczęśliwie), być może nie tak egzotyczny, a jednak dotyczący tym razem nas wszystkich. To autentyzm takiego "reporterskiego" przekazu zwabił mnie po raz kolejny i... popełniłem to, na czym się nie znam — napisałem dłuższy tekst.

Jeżeli jednak Ty, czytelniku, wyciągniesz z niego dla siebie jakąś namiastkę pokrzepienia, zarezonujesz w duszy, mój wyrzut sumienia będzie mniejszy, a prymitywizm warsztatu i ogólna ordynarność języka mniej dla mnie wstydliva.

Imiona i nazwiska osób przewijających się w tekście, ze względu na ochronę prywatności, zostawiłem do wiadomości swojej i osób domyślnych związanych z wydziałem jednym i drugim. Przekleństwa zostawiłem w oryginalnej formie, a niech tam! I tak język tego przekazu jest do bólu pospolity, niech więc pozostanie do końca autentyczny. Postaram się za to, w ramach rekompensaty, mniej przeklinać prywatnie. Poprawiłem, w miarę możliwości, to co razi, a nie poprawia przekazu, literówki itp.

7 stycznia, piątek

Nareszcie likend! Można w spokoju sięść do pracy dyplomowej. Siadam koło 14-tej. Walczę z grafiką, do tej pory udało mi się jedynie wyświetlić obrazek. Mam też parę klas, świetnie oddających model, którego realizację sobie przedsięwzięłem, ale co z tego, skoro nie można tego odpalić. Piszę. Około 2-giej w nocy uzyskuję oczekiwany efekt. Na razie bohaterowie biegają losowo, ale grafika jest git. Nie mam już siły. Zwalam się na wyro.

8 stycznia, sobota

Tak się wciągnąłem, że od rana, ledwie tylko wstałem, otwieram laptop. Pięć, osiem okien edytora, około 600 linii kodu, który wczoraj napisałem, ale orientuję się w tym świetnie. Całą noc miałem go przed oczami, wiem, gdzie jeszcze ulepszać grafikę, idzie mi sprawnie. *Java* to jednak fajny język, oczywiście dopóki nie pojawi się jakiś wredny problem. Wtedy i tak wszystkie książki są niczym. Poprawiam jeszcze planszę — świat mojego wkrótce inteligentnego bohatera, któremu na imię Boo. Czemu tak? Nie wiem. Gdzieś takie imię (a może nazwę?) widziałem ostatnio. Jest nieźle, robota idzie, są efekty. O 14.00 żołądek daje znać o braku wczorajszej kolacji, trochę już zdrętwiałem z tym kompem na kolanach. Do tego jakiś koleś zadzwonił po korepetycje z analizy. Od razu się z nim umówiłem, na dzisiaj po południu, żeby go mieć z głowy. W końcu cztery dychy piechotą nie chodzi. Mam cztery godziny. Zrobię jakieś zakupy na tydzień nadchodzący. Jak zwykle w pobliskim markecie. Byle tylko nie zastanawiać się, co i gdzie kupić. A tam wszystko w jednym miejscu. Po kiego grzyba zastanawiać się czy kupić coś za 2.99 czy 3.99 skoro dzisiaj zarobię 40? Za niewiele dłuższy czas niż to wyjście do sklepu? Nie chce mi się tego nieść, jestem w ogóle jakiś słaby, oddech mi się rwie. Wziąć samochód? Wrzuci się wszystko do bagażnika i po sprawie... Ostatecznie idę, muszę się przepacerować. Ciągłe tylko kontroluję jakieś wskaźniki, dane, obserwuję zmiany. Jeszcze gap się tu w zegary, czy ciśnienie oleju nie spada, czy woda w chłodnicy... Po drodze kupiłem ciastka, a co i walnąłem się nad bulwarami Odry. Kurczę, gdzie ja tak gonie? A tu zapach wody i ciepłe popołudnie, chociaż styczeń. Robię zakupy, biorę furę i jadę do gościa. Trochę za szybko, agresywnie. W drodze powrotnej myślami jestem już przy *Javie*. Dzisiaj nadam mojemu Boo inteligencję. Choćby

nie wiem co. Wreszcie znowu mam edytor w ręku. Mniej więcej wiem, co robić, ale czuję dreszczyk, problem nie jest trywialny, mniej więcej wiem, jak do niego podejść. Uda się. A zawsze jak mam takie przecucie, to się udaje. Trzeba by jeszcze dorobić tę cholerną bazę danych — bo to jest potrzebne na projekt. Ostatni. Niestety nie wiem, jak robi się permanentne połączenie, bez tego to jest bez sensu. Ale koleś u mnie trzaskali takie rzeczy. Trzeba w poniedziałek dorwać ich na jakiejś przerwie, bo samemu to bez sensu, człowiek straci czas, a się nie doszuka. Zrobię to na zwykłej tabelce, niech tylko zaczną myśleć. Północ. Niby powinno działać, ale są jakieś błędy. Kompilator nie wychwytuje. Przekierowuję wyjście na konsolę. Aha! Poprawiam. Ciągle to nie to, wreszcie... Zaczyna biegać, topornie, ale biega! Cholera, biega! Pokazuję Pa., odrywa się od projektu. On też nie pójdzie pewnie spać wcześniej niż o drugiej. Podoba mu się. Ja jestem wniebowzięty. Profesor mówił mi na seminarce w poniedziałek, że jak już to zrobię, to będzie sukces. A przecież właśnie zrobiłem! No patrzę w kod i zachowałem ogólność problemu! Myśli niezależnie od świata! Nie mam siły znowu zjeść kolacji, ale jednak robię ją. Siły wracają, radość. Ale na krótko, zmęczenie daje znać o sobie, zwałam się nieprzytomny na łóżko. Jutro trzeba będzie się rozstać z Boo. Piętnaście innych rzeczy do zrobienia. I to takich, że odłożenie ich wygeneruje trzy razy tyle roboty. No trzeba je zrobić jutro i już. A właściwie dzisiaj, w niedzielę. Cholerne niedziele. Ludzie sobie siedzą przed TV, a ty nap....dalasz.

9 stycznia, niedziela

Budzę się koło 11-tej. O 12-tej korki. Nie rozwieszałem ostatnio ogłoszeń, ale w sesji to się nie opędzisz. Spod ziemi cię wyciągną, a jak trzeba kasy, to pies z kulawą nogą nie przyjdzie. A ty zebrzesz o 10 zł. Idę. Zawsze idę. Już się nauczyłem, że jak jest kasa do wyrwania, to się wrywa, bo potem nie będzie. Zanim zjadłem śniadanie zrobiło się późno. Na tramwaj nie będę leciał, biorę furę. Gaz jeszcze jest. W pół drogi silnik zaczyna przerywać. Przechodzę na benzynę i jest OK. Koniec gazu? Niemożliwe... Za chwilę na benzynie dętka... No i w chu...wym miejscu. No nie da rady, ani na ssaniu, trzeba wysiąść i zepchnąć tę kolumbrynę, 1.4 tony. Na szczęście ktoś pomaga. No i kłops. A przez rok nic się nie działo. W końcu miało prawo. Tylko czemu teraz? A kiedy? I tak nie jest najgorzej. Jest niedziela przy-

najmniej parkingi *free*. Ale zaraz, dziś jest *Wielka Orkiestra* i będzie mój klub motorowy na rynku, a to dwa kroki, cholera dawno u nich nie byłem. A tam zawsze ktoś się znajdzie, kto zholuje. Mało to razy ja ich miałem na lawecie? Idę. Faktycznie, są. Impreza, baloniki, hałas, dzieciarnia, rozpoznaję prezesa, kilku innych, zamieniam parę kurtuazyjnych zdań, pytam się pierwszego z brzegu, którego ściągałem w zeszłym roku też na *Orkiestrze*. Śmiech, żarciki. Ale jest motocyklem, nie poradzi. Chociaż jakby chciał, to by i poradził. Ale ja wiem, do kogo iść. Kto tu jest pewnym gościem. Mówi mi: o 14.30. Weźmie samochód. Zgadzam się. Mam godzinę. Może pójde piechotą na te korki? Szkoda tej kasy. Ale za mało jest czasu. Kurczę, pewnie aparat zapłonowy szlag trafił. Gorączka myśli, przelatują mi wszystkie podejrzane układy przed oczami, znowu kasa, ale kasa to nic, kasę na razie mam. Tylko znowu mam dzień w plecy. Trzeba zawieść, odebrać, laweta. LAWETA. Zimno, miałem jechać samochodem w końcu. Wracam do domu po swetr. Dzieciarnia biega, krzyczy, śmieje się. A ja? Pracoholik. W końcu holujemy, ale udało się odpalić furę, źle chodzi, ale chodzi. I co? Reguluję. Zastanawiamy się, co jest. No niby nic. No co? Zostawię ją? Wracam do chaty. Dzwoni koleś od korków. Przekładamy na 15-tą. Cieszę się. Jest kasa i fura też OK. Tylko znowu pół dnia w plecy. Ale zdążę zrobić, co miałem zrobić. Wracam do chaty. Myślę o edytorze, który miałem poprawić, ale czuję do tego wstręt. Nie mogę się opędzić od mojego inteligentnego zawodnika. Trzeba mu poprawić płynność ruchu. Wiem nawet jak. Siadam, ale tylko na dwie godzinki. Lecą cztery, już 21-sza, 22-ga. No nie, coś muszę zrobić, chociaż troszeczkę, z innych rzeczy. Robię, nie wychodzi. Pieprzę, idę spać. Jutro trzeba wstać — poniedziałek.

10 stycznia, poniedziałek

Rano laborka z *Javy*. To nawet lubię, gdyby nie te trywialne i sztuczne zadania z tego, w końcu klawego, języka. No ale zawsze można się zapytać o parę rzeczy. Potem seminarka — czyżby moja wielka chwila? Tydzień temu mówiłem, co być może uda mi się zrobić, profesor mówił, że to będzie coś, a tu mija tydzień i mam to gotowe! Przeszedłem sam siebie. Wszystko inne przestaje się liczyć. Ma. mówi coś o relacyjnych bazach danych i pojemności informacyjnej. Próbuję się skupić. Na koniec wyciągam kompa i mówię szelmowsko: "Zrobiłem

to, co zapowiedziałem tydzień temu." Profesor chce zobaczyć. Siadamy wszyscy. On patrzy i się uśmiecha. Nigdy, cholera, nie dowiem się, czy ci koleś robią to z politowaniem, czy podziwem. Jak tu pięć lat studiuję, nikt mnie jeszcze za nic nie pochwalił. Ale i tak mam dzisiaj wielki dzień. Gnębię koleś o to połączenie permanentne. Mówią do mnie informatyczną kminą, a ja myślę o obiedzie. Na śniadanie, jak zwykle nie było czasu. Przed wykładem o 15-tej jeszcze zrobię to czy tamto. Wykład dokładnie o tym, co nadaje się do mojego Boo! Już widzę siebie, jak to implementuję. Wszystko mam przed oczami. To ma sens. Zaczynam zadawać ni stąd ni zowąd pytania. Grupa patrzy na mnie dziwnie, ostatni wykład, każdy kładzie łaskę. Po wykładzie jadę na Prusa na laborę, ale wcześniej ktoś jeszcze chce zobaczyć tą grę. Mówię: później będzie w necie. Na laborce niewiele kumam, ale na zaliczenie już swoje zrobiłem. Sprawdzam pocztę. Czy promotor, coś odpisał. Ale nic, tylko mejle z *Allegro*. Kurde, ci koleś nie potrafią przeczytać treści aukcji, a ja muszę do nich pisać, by zarobić 6 zł. Bzdura i nonsens. Siedzę, bo prowadzący napisał kod do portalu autostopowego, którym się teraz zajmuję. On może mi coś powiedzieć, co tam jeszcze nie działa. Aha, ten wybór daty. A... popatrzę w kod. Loguję się na serwer. On nie widzi, bo jest tyłem do monitora. Kurczę, wiem co. Widzę. O działa! He, he, a tyle nad tym siedziałem. On po laborce mówi mi, że najważniejsza jest promocja. Daje mi mejla do jakiegoś prezesa. Pisze mi go na ekranie. Nie chce mi się już logować na pocztę, zapamiętuję. W domu muszę jeszcze nauczyć na dwa koła. Z mechaniki płynów na jutro, a z termy na środę, bo jutro nie będzie czasu. Co innego w planach. Uczę się. Na szczęście niewiele tego. Bo mam niewiele notatek. Przynajmniej mam czyste sumienie. Wieczór schodzi, termę zostawię sobie na jakąś przerwę. Dzwoni G. z jakąś całą. Chce, żeby mu rozwiązać. Umawiam się z nim na dziesiątą rano przed kołem. Idę spać. Aha, jeszcze wyślę esemesa do T., bo mi nie odpisał, co z tym *Perlem* i tą cholerną listą trzecia. Ale nie odpisuje. Wkurzył się czy co? Na szczęście na tym trzecim roku, gdzie robię *Perla*, mam jeszcze dwóch znajomych. Piszę do nich mejle. Na pewno któryś będzie wiedział. Sam tego, cholera, nie wymyślę skoro w książce tego nawet nie ma. Pisze T. esemesa. Napisał, ale nic z tego nie rozumiem. Może komórka przekreśliła jakieś znaczki w kodzie? Cholera jasna. On pisze, że bym nie odpisywał, bo jutro ma koło o 7.30 i właśnie idzie spać. Na szczęście umówiłem się z nim jutro na 14.40 przed wykładem.

dem. Pisze A. Chce, żebym jej wytłumaczył mechanikę. Odpisuję, ale nie pasują jej żadne z moich okienek, umawiamy się wstępnie na środę po kole z termy. Kima.

11 stycznia, wtorek

Jadę policzyć G. tę całkę. Wcześniej podrzucam na pocztę paczkę z *Allegro*. Przede mną jakaś babcia płaci rachunki z całego kwartału, a może nawet roku. No cóż, jej prawo. Stojąc na przystanku czuję, że będę chory. Trochę za lekko się ubrałem. Łykam *Gripex* i zakładam czapkę. Całka G. jest z tych wrednych. Nie mogę jej ugryźć z żadnej strony. Czuję, że zaczyna mi brakować teorii i praktyki. Dobrze, że nie napisałem mu wczoraj, że na pewno ją zrobię, w końcu prowadzę ćwiczenia z tego przedmiotu. Głupio by wyszło. I tak czuję się jak winowajca. Przed kołem ludziska mówią, że w tamtej grupie zdała jedna osoba. Jak zwykle pieprzą od rzeczy i dramatyzują. Jeżeli tak, to w tej grupie tą osobą będę ja. Koło faktycznie jest trochę przekombinowane. Po co, cholera, pięć rurek w zadaniu, skoro pomysł ten sam, co dla dwóch? Ale wychodzę zadowolony. Obiadek. Myślę o moim Boo. Będzie musiał poczekać do następnego likendu, nie ma siły, sześć kolokwiów w tym tygodniu. Ale najgorszy jest ten *Perl*. Czeski film. Mam godzinę do wykładu. Trzeba ją dobrze spożytkować. Na szczęście mam książkę z kryptografii. Poczytam sobie o *RSA*, nie mogę tego zapamiętać, a jest to nawet fajne. Idę do instytutu na czwarte piętro, tam są fajne fotele. Pojawia się P., gadamy. Daję mu perfidnie tę całkę, bo chciał zobaczyć zadania, które dam na swoim kolokwium. To oczywiście żart, ale zaskoczył. Dobrze, jak wymyśli, zejdzie mi to z głowy. Ale nie wymyślił. Za to proponuje wbić to do *Mathematica*. Idziemy na laborkę. Ja tego języka nie znam. Aha! Wbija to do *kernela* i *evaluation cell*. Może się kiedyś przydać. Jak mnie ktoś z mojej grupy będzie gnębił. Pokazuję mu moją pracę, którą umieściłem wczoraj już z laptopem w łóżku na serwerze. Ale, skubana, tylko w mojej przeglądarce chodziła i to do połowy. Wbijam. Mam jeszcze dziesięć minut do spotkania z T. Jego muszę złapać, bo informacja z tego *Perla* jest ściśle taktyczna. Bez niej nic nie zrobię. Ale dobrze, że chociaż ta moja gierka hula w jednym miejscu na polibudzie. Idę do A-1. T. jest. Mówi mi co i jak, pisze ten kod w notatniku, ja wysyłam. Takie czasy, szkoda przepisywać, wysyła się do domu w mejlu. Chcę mu pokazać moją

pracę, ale w tej pracowni akurat nie chodzi. Tu *pop-up'y* są wyłączone — mówi T. Drukuje sobie listę z *łańcuchów Markowa*, ale coś mu lipnie drukuje. Irytuje się. Dobrze, że ja to już mam za sobą! Narzekamy na K. — K. to koleś od *Perla*, psychopata jeden. Ktoś się przyłącza do rozmowy, ech lubimy ponarzekać, zresztą jest na co. Gość w jeden przedmiot wtłoczył cztery języki programowania. Jest k...a styczeń, a ja dopiero wgrzyłem się w dwa. A ułomkiem pod tym względem znowu nie jestem, programowałem już chyba w siedmiu. Tomek musi lecieć, żegnamy się. Ja idę na ostatni wykład z szyfrowania. Za tydzień koło, dobrze posłuchać, co będzie. Na spotkanie w klubie motocyklowym już nawet nie idę, dawno już tam nie byłem, ale naprawdę nie mam już na to czasu. Przez trzy pierwsze lata studiów miałem, ale teraz już nie. Nie mogę już słuchać tego głupiego pieprzenia o tym, jak to znowu ktoś coś głupiego powiedział i co klub wobec tego. Albo w jakim banku klub ma sobie założyć konto. I dyskusja na liście mejlowej przez dwa tygodnie, a ty czytaj codziennie dwadzieścia mejli jeden bardziej idiotyczny od drugiego. No i wypisałem się z tej listy, mam nadzieję, że moje akcje nie spadną z tego powodu. Siadam do *Perla*, na szczęście odpisał spec S., ła! to jest faktycznie spec, dwie wersje, wyczerpujący opis. Co ja bym bez tego koleśia zrobił. Piszę, działa! Wreszcie, ale to dopiero jedno zadanie z czterech... A tyle zachodu. K. to bez wątplenia psychopata. Biorę się za to z katalogami, czytam w książce, ale dupa, *readdir* nie działa, wyrzuca wszystko hurtem, a nie pojedynczo. I znowu stoimy, kurna kolejny wieczór i pół zadania do przodu. Pozostaje znowu napisać do S. I spać. Jutro koło z humana (to się nie uczę, nauczę się rano, zresztą to jest nieszkodliwe) i z termy po południu. Tu będzie co robić, ale chodziłem na ćwiczenia, więc przypominam sobie tylko wykres *IS*. Spać!

12 stycznia, środa

Wstaję jak zwykle o takiej godzinie, że pozostaje tylko wsiąść w tramwaj. Ale spoko, human pierwszy, koło miało być pod koniec zajęć, to się nauczę na pierwszej godzinie. No i się nauczyłem. Za dwie godziny moje ostatnie (może?) prowadzone ćwiczenia z analizy, ale trzeba jeszcze zrobić coś do koła za tydzień. Mam okienko, poczytam trochę przykładów, żeby nie odwalać chały. Normalnie nie przygotowuję się do prowadzenia zajęć — mam je jakby w głowie, ale czasem trzeba coś

sprawdzić. Idę do baru, ledwo otwarłem książkę idzie An. z klubu i dosiada się. Do ćwiczeń mam jeszcze godzinę, zdążę. Gadamy o klubie i w ogóle. Mówię mu, co myślę o ostatnim biciu piany. Mówię nie jemu pierwszemu i nie pierwszy raz. Ale bez specjalnych rezultatów. Dlatego już tam nie chodzę. Obiecuję An. katanę, którą mieli przysłać mi rodzice, bo zapomniałem wziąć po sylwestrze z Katowic. Rozstajemy się. Idę na obiad. Wcześniej, żeby się nie spieszyć. W ogóle nienawidzę się spieszyć. A tu masz ci los. Taka gonitwa. Mam jeszcze pół godziny do moich ćwiczeń. Idę do instytutu, zawsze się tam kogoś znajomego spotka — no i pozna jakąś taktyczną informację! Wieść o mojej gierce "dyplomowej" niesie się szybko. Już ktoś chce, żeby mu napisać linka, chociaż jeszcze nie można tam wejść przez stronę. Na ćwiczeniach próbuję jakoś podświadomie wtłoczyć moim studentom przed kołem ogół wszystkich rzeczy niewypowiedzianych. Opamiętuję się. Po co się produkować? I tak puszczą to mimo uszu, bo każdy chce już iść do domu. Koło z termy. Jak zwykle śmierdząca sala po poprzednich zajęciach nachalnie wietrzona zimnym, nieprzyjemnym powietrzem. Zadanka nie są proste. Jedno z trzech zważyłem po długim czasie — to był standardzik. Jedno podejrzone, trzeciego w ogóle nie umiem zrobić, chociaż sam udawadniałem coś podobnego na ćwiczeniach. Po godzinie koniec. Tak jakby nie można było pisać tego kwadransa dłużej. O co chodzi? Myny koleś nietęgie. To podejrzone wszystkich zbiło z tropu. Zostaję z A. tłumaczyć jej mechanikę. Jutro koło, jest to w końcu jakaś metoda nauczania się. Na angielski na pewno się spóźnię. Prosi mnie, żebym jej jutro wytłumaczył coś z matmy. Nie potrafię jej odmówić. Czyli oznacza to, że będę musiał oddać *Perla* w pół godziny. Przy K. to niewykonalne. Oj, jutro się coś posypie! Idę na angielski. Wchodzę w połowie, śmiech w grupie, ale mnie już takie rzeczy nie ruszają (o zgrozo?), najważniejsze, że prowadzący jest OK. Wieczorem jak zwykle czytam pocztę od S. Oczywiście jest wyczerpująca odpowiedź. Sam z wszystkimi książkami nigdy bym na to nie wpadł. Walczę do późna. Na szczęście tydzień nieparzysty i nie ma jutro laborki z elektry. Zostało mi jeszcze tylko jedno zadanie z tej listy. Ale jutro się jeszcze dwie godziny rano znajdą.

13 stycznia, czwartek

Niestety muszę rano lecieć na uczelnię — umówiłem się z koleśkiem na

oddanie poprawionego projektu z wytrzymałości. Koleś go nie czyta, tylko każe przyjść po niego później. Obiadek, coś tam jeszcze załatwiam, idę na koło z mechaniki. Tego brakującego zadanka nie zrobiłem. Ciągłe brak mi pomysłu. Koło niby OK. Idę na K. Dorwałem jakichś kolesi. Wyśpiewali jak zrobić to pierwsze, nawet dali mi do zgrania, ale na szybko, bo gdzieś się spieszyli. Każdy, cholera, gdzieś biegnie... Ale już wiem. *Hasze!* Oczywiście, że *hasze!* Oddaję K. A K., qrwa mać, nawet nie popatrzył na to pierwsze i czwarte, które robiłem przez ostatnie dwa dni, tylko przyczepił się do kompresora, że powinien też kompresować cyfry i *tyldę*. Zaczynam się z nim kłócić. Tego nie było w treści zadania. Na nic. Czas mam ograniczony. A co prawda zapomniała o spotkaniu ze mną, więc mam jeszcze czas, ale o 20-tej umówiłem się na korki ze statystyki. Walczę. Odpowiedział mi P. Zrobiłem, oddałem, z głowy. Popatrzyłem w papiery K. — P. ma tam prawie same pały! A najspokojniej rozmawia z K. o pisaniu u niego pracy inżynierskiej. O co chodzi??? Może to ze mną jest coś nie tak? Jadę do domu jeszcze coś zjeść przed korkami. W drzwiach dostaję esemesa, że on dzisiaj nie może, coś mu tam wypadło. Oddycham z ulgą. Oznacza to, że zrobię sobie w spokoju, przed północą, sprawko z elektroniki na jutro. Zresztą wcale mu się nie dziwię. Biedak pracuje do 19-tej a potem jeszcze wkuwa ze mną statystykę, żeby skończyć te swoje cholerne, rozbabrane w połowie, studia. Pewnie był już dzisiaj tak wykończony, że wymyślił jakąś ściemę. Rozumiem go. Robię sprawko — ostatnie, na szczęście. Zepsuła mi się chyba komórka, nie działa dżojstik w prawą stronę.

14 stycznia, piątek

Rano elektronika, potem język. Dzisiaj jeszcze poprawka kartkówek z ćwiczeń z szyfrowania. Ale na szczęście wieczorem. Jeszcze się trochę pouczę. Zawsze się jeszcze jakieś punkty wyrwie, bo zaliczenie niepewne. Poprawka jest dla chętnych, ale przychodzi literalnie cały rok. Po drodze sprawdzam wyniki z mechaniki z ćwiczeń. Oblałem. Dzisiaj umówiłem się z promotorem, żeby mu pokazać moją gierkę. Ciekawe, czy przyjdzie. Napisał mi mejla wczoraj wieczorem, odpisałem mu, ale czy przeczytał? Siedzę, czekam, kurczę, jak nie przyjdzie znowu się wszystko odwlecze, kolejny stracony piątek. Na szczęście jest. Oglądamy. Ja jestem jak zwykle podekscytowany. On podchodzi do tego

chłodno. A literatura? A książkowe przykłady? Wie pan, bez tego nikt nie podejdzie do tego poważnie... Ot, presja. Wie pan tu jest taka masówka, że nikt nie zagłębia się w to, co zrobił ktoś poniżej doktora. Wychodzę, ale przynajmniej nie będzie mi już wstyd prosić o wpis z pracy dyplomowej nic nie zrobiwszy. Mam już wszystko, co potrzebuję, żeby odpalić moją gierkę na bazach danych. Chociaż działa na zwykłej tabelce, to muszę tam na razie sztucznie wtłoczyć bazę danych, żeby oddać trzeci projekt z baz danych. Muszę. Mam wszystko, tzn. zaplecze teoretyczne, parę przydatnych funkcji od Ł. (pociałbym się, jakbym miał je sam napisać) do łączenia się z bazą danych *Javą* no i dobrze skonfigurowany system — oj, walczyliśmy z tym parę tygodni. Teraz tylko trzeba tego użyć w mojej gierce. Ale z tym sobie już poradzę. Jadę po obiadku prosto do chaty. Siadam i walczę. Poszło bez większych problemów, choć oczywiście cały wieczór i popołudnie do tego zużyłem. Chwila wytchnienia i do spania. Sprawdzę jeszcze pocztę. B. zaprasza mnie jutro na jakąś mega imprezę. W sesji (sic!). Ale jutro mogę iść. Zasłużyłem sobie.

15 stycznia, sobota

Wstaję jak zwykle późno, organizmu nie da się oszukać. Dzisiaj mam korki w trzech różnych punktach miasta. Ale nie biorę samochodu. Lubię sobie tak od czasu do czasu poskakać po tramwajach. Na śniadanie jak zwykle nie było czasu. Kupuję na rogu, dwa rogaliki z makiem. Standardowo. Standardowo też pani uprzedza mnie, że są ciężkie i drogie. Śmieję się. Mówię, że co z tego, skoro je lubię. Drugie korki są na ulicy Pięknej. Zapomniałem popatrzeć na mapę, ale I. tłumaczyła mi jak tam dojechać, więc mniej więcej wiem, gdzie to jest. Dopytam się. Po godzinie już trzecia osoba pewna, że wie, co mówi, prowadzi mnie w sprzeczności do tamtych w jeszcze innym kierunku. Jestem już wkurzony, zwłaszcza, że sam coś pokręciłem, bo mi się źle wydawało. W końcu ląduję na ... Ślicznej. Wrrr.... Okazuje się, że Piękna jest co prawda w okolicy, ale trzeba jeszcze podreptać kilometr. Mam już poślizg półtorej godziny i jestem już godzinę spóźniony. Nawet jakbym chciał, to nie zarobię już tyle, ile miałem dzisiaj zarobić. Ciekawe, czy zdążę zjeść obiad przed trzecimi korkami? NIE. Obiad zjem choćby nie wiem co. Trzeba się szanować. Napisałem esemesa koleśowi, że się spóźnię. Adres: Wyszyńskiego 27/ileś. Zła-

pałem tramwaj na Wyszyńskiego, ale dojechałem w okolice numeru sto dwadzieścia ileś, wrrr.... Zaczyna mi dokuczać dotkliwie zimno. No i ta nie zaleczona grypa. Cholera wie, ile będę musiał dreptać po tym ścinającym gębę mrozie. Zacznam żałować, że nie wziąłem samochodu. Wreszcie dolałem spóźniony od przewidzianego spóźnienia. Jak ja tego nienawidzę. Siadam, uff.. ciepła herbatka, to jest to. Powoli wracam do używalności. Ale chyba i tak będę znowu chory, no nie! To jest w takim cholernym okresie prawdziwa tragedia. Bo wiem, że i tak do łóżka się nie położę, za duże plecy i odbije się to znowu na moim organiźmie. On wyciąga notatki, zeszyty, kolokwia i mówi to, co tak mnie zawsze dobija: ZACZNIJMY WSZYSTKO OD POCZĄTKU. Wrrrr..... Ale się szybko otrząsam. W końcu nie robię tego od dziś. Niejednego się już kolesia od tego "zera" wyciągnęło. Koniec. Do B. spóźnię się tak czy owak, choć on prosił, żebym był punktualnie o 19-tej. Wrrrr..... Po drodze kupuję znowu *GripeX*, jakieś czekoladki i walę do B. W drzwiach.... no nie! Głowa przy głowie, kurtki leżą na podłodze. 40 osób w M3 !!! Gdzie mnie tu przywiało? Chłodnym wzrokiem oceniam: całkiem tu dużo fajnych panien. Żartuję z B., że powinien mnie tu wszystkim przedstawić. On bierze to serio, wchodzi na kanapę i mówi: To jest Wojtek. Wojtek jest matematykiem. Konsternacja w pokoju... Ale mnie jest już wszystko jedno. B. gratuluje mi mojego samouczącego się algorytmu. Potem oni jadą na miasto, wsiadam z nimi do tramwaju, ale już nie wysiadam. Mam dość. D. mówię, że jestem pochorowany, co zreszta jest prawdą, ale D. myśli pewnie coś innego i też ma rację. Na szczęście oni to szanują. Pod tym względem mnie rozumieją. Chociaż tyle dobrze. W domu błąkam się z kąta w kąt. Ta impreza miała potrwać trochę dłużej. Nie wiem, co ze sobą zrobić, jestem rozbity. Komórkę mi już zupełnie szlag trafił. Nie da się już nic zrobić. Wyciągam baterię i wkładam ją do szuflady. No to klops. Koniec z kasą, bo to mój jedyny kontakt na ogłoszeniach. A niech tam! Przynajmniej będzie trochę spokoju, nie będą mnie męczyć esemesami.

16 stycznia, niedziela

Jeszcze zdążyłem się umówić na jedne korki, jadę. Daję gościowi mojego mejla, on na szczęście zna jeszcze I., bo są razem na roku. I Ar., tego z Wyszyńskiego znają też. To znaczy, że mam jeszcze trzech klien-

tów. Jest OK. Jakiś obiad po drodze. Po powrocie okazuje się, że moja kolej sprzątania całej chaty. I co? I nic, zakasuję rękawy i biorę się do roboty. Wreszcie siadam do mechaniki. Trzeba się nauczyć. A tu jedna wielka rotacja, pochodna, macierz. Pierwszy raz patrzę na wykład z całego semestru. Mam na jego nauczenie się pół dnia. Ale w końcu jestem matematykiem. Nie ma strachu, nauczyłem się już niejednego przedmiotu w jeden dzień z tego mechanicznego. No ale trochę to jednak trwa.

17 stycznia, poniedziałek

Rano koło z mechaniki. Zadania z liceum. Śmiech. Za mną koleś szepczą: kosmos! Nie wiem, czy się śmiać, czy płakać. I do tego wykładowca w stopniu profesora mówi do gościa patrząc w jego pracę: "coś się panu chyba POPIERDOLIŁO..."(!) Wychodzę z tego cyrku. Zdążę jeszcze na pół laborki z *Javy*, może się coś odda. Oddać by się może i oddało, ale nie zdążyłem tego poprawić. Idę więc z A. po skserowane testy z mechaniki płynów, które udało mi się zdobyć. A, idę jeszcze na tą *Javę*, chociaż zostało pół godziny. Co będę marznął przed insytnetem. Poprawiłem jeden program i nawet udało się go oddać. Potem seminarka, wykład z *data miningu*. Mam trochę wolnego czasu, idę do serwisu z komórką. W serwisie paniusia mówi, że tutaj nie da rady. W serwisie drugim słyszę, że tu też nie, bo to nie jest serwis, gdzie kupiłem. Mówię, że ten, gdzie kupiłem, już zburzyli. Rozkłada ręce, patrzy w papiery, mówi, że brakuje faktury i bez tego będzie trudno. Mówię, że nie dostałem. Znowu rozkłada ręce. W trzecim serwisie na peryferiach miasta przyjmują. Uprzedzają, że zostanie wyczyszczona cała pamięć. Wzruszam ramionami. Na szczęście mam wrodzoną nieufność do elektroniki i trzymam zapasowy spis telefonów na kartce. O 18-tej są jeszcze dodatkowe ćwiczenia z kryptografii przed jutrzejszym egzaminem. Ten przedmiot to nie żarty. Grupa specjalnie umówiła się z ćwiczeniowcem, żeby się jeszcze podszkolić. Jadę, choć już wieczór. Siadam niby o właściwej godzinie, ale oni zaczęli już wcześniej. Powieki mi się kleją, ale jeszcze coś z tego wyłapuję. Wieczorem dylemat. Jutro trzy koła. Uczę się do tego rano. Na szczęście to termodynamika wykład. Mam gotowe, opracowane pytania.

18 stycznia, wtorek

Rano koło z termy, powtarzam jeszcze przed wyjściem pytania. Przycho-
dzą, na początku pisze pierwsza grupa, na raty. Pozostaje siedzieć
pod ścianą i czekać. I siedzę taki zmarnowany. O! Idzie mój student.
Ale mnie nie zauważył. Po kole z termy idę rzucić okiem na wyniki z
płynów z ćwiczeń. Patrzą na listę, dwie osoby zdały — norma. Sęk w
tym, że mnie wśród nich nie ma, chociaż niby wszystko napisałem. Pa-
trzę, gość ma akurat konsultacje. Znajduję go w laboratorium. Coś ma-
jstruje przy jakimś modelu rurociągu. Oglądam swoją pracę i włącza
mi się agresor. Koleś nawet nie czytał tego, co napisałem. Nie pa-
sowało mu do szabloniku, to wpisał 0 pkt. Zaczynam mu udowadniać,
że to, co napisałem, jest dobrze, chociaż inaczej. Koleś chce mnie zbyć,
irytuje się. Nie daję za wygraną. Robi się zbiegowisko, bo ludzie pisali
tam jakąś poprawkę. W końcu gość przyznaje mi rację i wpisuje 3.0. O-
więcej nie chce mi się już kłócić. Wychodzę zniesmaczony. Mam jeszcze
cztery godziny na obiad i definitywne przygotowanie się do szyfrowa-
nia. To szyfrowanie poczytuję sobie w wolnych chwilach, okienkach,
gdzieś od połowy semestru. Ale jak przychodzi coś zrobić, to dopiero
ukazuje się moja niemoc. Co z tego, że na egzaminie można mieć no-
tutki? Nawet nie zdążysz przeczytać i zrozumieć, żeby zbliżyć się do
problemu. Na sali jest już sporo ludzi. Stale przychodzą. Ciekawe,
jak się tu pomieszczą, niektórych widzę pierwszy raz na oczy. Mają
nawet... słowniki angielskie. Cholera, listy były po angielsku, ale koło
chyba nie będzie? Przychodzi profesor w towarzystwie jeszcze dwóch
prowadzących. Jeden psuje mi zupełnie humor. Na szczęście niewiele
ma tu do gadania. Jest tylko zwykłym pilnującym. Wychodzę zu-
pełnie zrezygnowany, zrobiłem niecałe dwa zadania na osiem. Nawet
nie muszę sprawdzać wyników. Pała murowana. Ale cóż, życie toczy
się dalej. Jeszcze dzisiaj koło z *Javy*, ale za dwie godziny. Uczyć mi się
już nie chce, ten przedmiot akurat chyba umiem. Ł. proponuje wykład
z *USB* otwarty dla wszystkich. Cóż, idę, co będę się snuł po nocy po
uczelni. Wykład zaczyna się z opóźnieniem, siedzimy na sali. Ł. radzi
mi zmodernizować *Knopp'a*. Mówi, że to, co kiedyś u mnie instalowa-
liśmy, to już jest rupieć. Słucham go jednym uchem, trochę mnie dobiła
ta kryptografia. Zresztą ja nie mam nawet kiedy ustawić sobie grafiki,
a co dopiero kompilować jądro. Wykład zaczyna się. Jemy wafle, które
kupiłem przed kołem. Jestem w ogóle jakiś głodny. Wychodzę po

kwadransie. Chcę jeszcze zajrzeć w notatki. Wertuję slajdy, ale literki latają mi przed oczami. Zamykam teczkę i idę na to trzecie koło. Ka. pyta mnie o kryptografię. Mówię co i jak. Ona mówi, że jak ktoś ma czwórkę z ćwiczeń, to choćby dostał 2.0, to ma 3.0 z obu. Przynajmniej tak słyszała. Koło z *Javy* nie jest za proste. Takich szczegółów, to sorry, ale ja nie pamiętam. Wychodzę trochę niepewny. Miało być bez większych problemów. Dzisiaj jadę jeszcze do klubu na Biskupin. Tak czy owak umówiłem się, żeby odebrać jakieś listy, co przyszły na moją starą chatę. W klubie An. pyta o kamizelki, ale rodzice ich coś nie przysłali. Sam jestem wkurzony. O 22-giej wykręcam jeszcze zębatkę z zapasowego silnika do wycieraczek. Obiecałem ją wysłać jednemu koleśowi z Katowic już tydzień temu. Wieczorem, czytam jeszcze slajdy od K. — jutro koło, ale pierwszy termin i tak spisałem już na straty.

19 stycznia, środa

Dzisiaj wyniki z humana. Postanowiłem się spóźnić. I tak się to pewnie przeciągnie, co będę tam kiblował w sali, przyjdzie się na koniec i już. Przychodzę późno, ale i tak jeszcze wszyscy siedzą. Zastanawiam się, do którego indeksu wziąć wpis. Bądź tu mądry i przewidź, co będą chcieli w dziekanacie. Za dwie godziny muszę sam zrobić koło, a chciałem się jeszcze pouczyć K., myślałem, że ten wpis się załatwi szybko. Ok, załatwione. Idę do pracowni, otwieram przeglądarkę, ale wykłady K. nie chcą się otwierać. W końcu ściągam je na dysk i jest OK, ale jest ich cholernie dużo. Kiedy on to wszystko zrobił? Jak mnie nie było ostatnimi czasy? Cóż, zamykam *Acrobata* i idę na obiad. Inaczej już dzisiaj nie zjem. Potem koło. Rozdaję zadania, chwila spokoju. Wyciągam sobie książkę do *Perla*, ale szybko chowam. Chcę mieć chociaż chwilę spokoju. Koło u K. trwa godzinę, jeszcze zdążę na końcówkę termy ćwiczeń. Wezmę sobie wpis. W poniedziałek dowiedziałem się, że dostałem na koniec pięć, za aktywność. K. się spóźnia na koło. I do tego nie zabrał pytań. Co za cymbał. Poszedł na dół do pracowni ściągnąć je z serwera. Wraca, ale mówi, że tam ich nie ma, zapomniał sobie zgrać. W końcu dyktuje pytania z zeszłego roku. Pół godziny w plecy, na sali 120-osobowej sto osób. K. się irytuje. Co za idiota! Żeby nie wziąć sobie pytań na koło. Ciekawe, o czym on myślał cały dzień.¹ Nie wiele mi to wszak pomaga. Nie mam kompilatora czterech

¹Teraz, już po studiach, zastanawiam się czasem, czy to nie było celowe, takie "perskie

nowych języków w głowie i nie będę pisał fragmentów kodu. Wychodzę po pół godzinie. Przynajmniej zdążę na wpis z termy. W sali jak zwykle śmierdzi, po chwili oswajam się. Cholera, można było poczekać na korytarzu. Babka robi jeszcze jakieś zadanko na wykres IX. Po kiego grzyba? Dałaby spokój na ostatnich ćwiczeniach. Biorę wpis i idę na angielski. Zatrzymuje mnie A. Pyta o coś z analizy. Piszę jej jakieś pochodne pod latarnią. Znowu spóźnię się na angielski. Na angielskim mam ułożyć jakąś historyjkę. Siedzę jak zwykle koło Ag. Tyle chociaż z tego przyjemności. Wpatruję się tępo w obrazki. Niby wiem, co zrobić, ale nie mogę się zmusić do wysiłku wyduszenia z siebie jakiejś myśli. Mam ochotę powiedzieć do Ag., żeby zrobiła to za mnie. Ale ona uprzedza mnie. Mówi, że nie ma już siły. Oblała jakieś koło i chce do domu. Kto jak kto, ale ja ją rozumiem. Wieczorem muszę zrobić laborkę z elektry, cholera, przepadały te czwartki i została masa tego gówna na koniec. Do K. jutro się nie wybieram — i tak nic nie mam. Postanawiam sprawdzić dzisiaj te kolokwia. Mówiłem co prawda im, że wyniki będą jutro wieczorem, ale co za różnica i tak to muszę sprawdzić jak najszybciej. To akurat idzie mi sprawnie, po dwóch godzinach prace są poprawione. Trzeba jeszcze zrobić drobną poprawkę w systemie do wyświetlania wyników, który zresztą napisałem niedawno na bazy danych. Żeby się tylko nic nie posypało, bo szkoda by było zakończyć ten mój pierwszy kurs takim fatalnym akcentem. Tak cholera myślałem! Coś przestało chodzić. Za dużo jest tego kodu, żeby się teraz w nocy w niego wgryzać. Ale szukam trochę po omacku. Jest! Na szczęście! Zbłąkany *slash*. O północy tego samego dnia umieszczam wyniki.

20 stycznia, czwartek

Po laborce mam trochę czasu, jadę odebrać komórkę z serwisu. Odbieram, sprawdzam, ale, kurde, coś jest nie tak. Dżojstik jak nie działał tak nie działa. Pytam się, o co chodzi. Babka, trochę podirytowana, mówi, że zgłosiłem usterkę klawiatury, a nie dżojstika. Opadają mi ręce. Znowu pisz papiór, jedź na to zadupie i kolejny dzień w plecy. Na szczęście przychodzi koleś z serwisu i obiecuje zrobić na poczekaniu. Czekam jeszcze godzinę. Jest w miarę OK, tylko wyświetlacz się jakby

oko" do studentów: "przeczytajcie sobie pytania z zeszłego roku". Ten materiał był naprawdę nie na na jeden przedmiot.

przyciemnił. Kit. Wsiadam w autobus. Jutro koło z elektroniki — trzeba wyryć testy. Dobrze, że to chociaż tylko testy. Czytam:
...*pomiar charakterystyki częstotliwościowej czwórnika biernego wymaga:*
a) *generatora o przestrajanej częstotliwości*
b)...

Ki ch.j wpakował to do programu mechaniczno-energetycznego? I do tego koleś z laborki chce jeszcze zrobić kartkówkę z laberek, jakby jedno koło w ciągu dwóch godzin to było mało. A właściwie to mam trzy, bo w tym samym czasie leci wytrzymałość wykład, ale przecież się nie rozdwoję.

21 stycznia, piątek

Dzisiaj ważny dzień. Ta pieprzona elektronika rano, potem wyniki z testu z angola, a na końcu trzeba oddać trzeci projekt z baz danych. Koło z tych laberek jest mocno przekombinowane. Ale jakoś piszę, potem w samochód i na polibudę (elektronika jest na Prusa — to w innej części miasta). Angol poszedł mi dobrze, ale tam angol. To najmniej ważne ze wszystkiego. Potem znowu samochód i na Prusa z bazą danych. No, to ta przyjemniejsza część dnia. Wszystkim podobała się moja gierka, więc powinna się też podobać pani z baz danych. Jest tylko jeden problem. Ta baza jest tam sztuczna, to tylko jest jedna tabelka, niepotrzebna, no ale cóż. Rozwinę to dopiero w przyszłym semestrze. Miejmy nadzieję, że nie będzie problemu. Ale jest OK, dostaję piątkę pakuję laptopa i z powrotem na polibudę. Kolesie pytają się babki, kiedy jest *dead line*. Ha, ha! Chyba wszyscy mają ten sam problem. Teraz spokojnie obiadek, potem wpisy da się grupie. Jadę do domu, bo zapomniałem syropku na kaszel i mnie męczy. Nie będę przecież mówił: gratulu.. ehe, khe... ję! Zabieram syropek i chcę zabrać pióro, ale spostrzegam się, że oba są popsute. No tak, zapomniałem. Całe studia pisałem sobie piórem (przynajmniej, no, ostatnie trzy lata) i teraz będę musiał dać pierwsze w swoim życiu wpisy do indeksów jakimś ordynarnym jednorazowym długopisem, albo jeszcze do tego pękniętym. W końcu wypompowuję czerwony atrament z mojego trzeciego pióra, napełniam czarnym. No cóż, pisze trochę na fioletowo, ale trudno. Wracam na uczelnię. Przed samym instytutem dzwoni mi komórka. Dzwoni Ad., z którym siedziałem dzisiaj na bazach danych. Mówi, że walczy o 5.5, ale nie dostanie, jak mu powiedziała

babka, póki mnie nie ściągnie i ona nie wpisze mi też 5.5, bo moje projekty były równie dobre. No i co? Trzeci raz na Prusa. Ale idę. Zostawiam furę i idę. Niech tam gość przynajmniej nie musi biegać za takimi duperelami. Mam jeszcze dużo czasu do wpisów. Pytam się go, skąd wziął mój numer. On wylicza mi łańcuszek telefonów, po których doszedł do mojego, łącznie z moimi rodzicami w Katowicach! Chcę jeszcze podejść do biblioteki mikrosystemów przed wpisami, ale jest już zamknięta. Wyciągam gumę do żucia i snuję się po polibudzie. Rozkoszuję się chwilą, o której nie myślałem, że tak szybko nadejdzie. Po wpisach przychodzi do instytutu A. Umówiłem się z nią znowu na analizę. Dzisiaj ma koło o 19-tej. Wieczorem już nic nie robię, w końcu na dwie godziny wolnego mogę sobie chyba pozwolić...

22 stycznia, sobota

Umówiłem się wczoraj z A., że siądziemy ekipą nad płynami (wykładem). Jadę na ulicę Skwierzyńską. Wyciągamy, każdy co tam ma i zaczynamy. Po paru pytaniach zaczyna się czeski film. Nic nie możemy znaleźć, a jak coś znajdziemy, to tysiąc wątpliwości. Czytam:

Pozioma składowa naporu (w danym kierunku) na ścianę zakrzywioną równa jest:

a) *iloczynowi rzutu powierzchni na płaszczyznę prostopadłą do danego kierunku przez ciśnienie w środku ciężkości tego rzutu*

b) *ciężarowi słupa cieczy zawartej między...*

albo:

Współczynnik proporcjonalności naprężeń stycznych do prędkości deformacji jest równy:

a) *podwojonemu dynamicznemu współczynnikowi lepkości*

b)...

Tańczą miliony pól wektorowych, rotacji, dywergencji.. Oni pytają się mnie, co to jest dywergencja. W końcu jestem matematykiem. No to im odpowiadam: *suma pochodnych cząstkowych poszczególnych współrzędnych pola wektorowego* i sam staczam się w otchłań beznadziei tego wszystkiego. Co z tego, że jestem matematykiem, skoro nie tylko nie mam czasu udowodnić tych wszystkich zależności, ale nawet ich sobie jako tako wyobrazić? Jestem podwójnie przybity. Po paru godzinach zaczynamy się rozchodzić. Nastroje są nietęgę. Idę na jakiś obiad. Po powrocie siadam już do tego na spokojnie, ale niewiele posuwam

się naprzód. Znowu przyjdzie wyryć te testy. Muszę jeszcze dzisiaj nauczyć się do koła z *data miningu*, ale to czysta formalność. Jutro bezwarunkowo siadam do K. i tych jego pieprzonych list.

23 stycznia, niedziela

Miałem się wziąć za K., ale wiem, że jak otworzę laptop, to śniadania już przed piętnastą nie zjem. Spoko, K. trochę poczeka. Mam w końcu na to cały dzień. Jadę zatankować samochód, jakieś zakupy. Śniadanie. Dobra, biorę się za K. Nie na długo. Od razu problem, jak to z listami K. Nie pomagają wszelkie przykłady jakie przysłał mi Ku. i T. Natomiast książka, którą kupiłem do tego przedmiotu na *Allegro*, nie doszła. Właśnie koleś napisał mi mejla, żeby mi przysłał potwierdzenie przelewu, który zrobiłem. Świetnie, a bank jest wyłącznie internetowy. Cóż, trzeba K. odłożyć. Na nic płacze, na nic krzyki, siedzenie przy tym dalej, to strata czasu. Biorę się za wytrzymałkę. W końcu ćwiczenia trzeba zdać i to dobrze, bo pierwszy termin z wykładu już mi przedwczoraj przeleciał. Ech...

24 stycznia, poniedziałek

Dzisiaj dwa koła. Norma. Rano laborka z *Javy* — ostatnia. Niby nic, ale znowu 30 osób będzie chciało oddać ostatni program. Żeby tylko, cholera, nie musiał czegoś poprawiać, to sobie potem spokojnie wezmę wpis z mechaniki. Poszło OK. Wpisik, chłopaki już ostro kuja płyny. Ja piszę w drugiej zmianie, tzn. o 12-tej. Wchodzimy, kurczę, jak w więzieniu — pod ścianę, może jeszcze ręce na kark, co? Teścik niby znajomy, w końcu kuło się te gotowce, ale spora część pytań to chyba nowość. Strach zakreślać, ujemne punkty. Teraz koło z *data miningu*. Tu już mniejsze emocje. Prowadzący uspokaja, że jeśli będzie trzeba, zrobimy poprawkę. Ale te koła... Z pierwszego wycisnąłem maksa. Muszę dostać 0 pkt, żeby zaliczyć, to chyba zaliczę... Tylko trochę głupio wyjść z 3.0. By potem pracować jako "inżynier wiedzy"? Pojęcie mam nader blade o tym, co piszę, raz tylko przejrzałem te slajdy i to parę dni temu, na szczęście to jest test. Obiadek, do domciu i siadam do K. Kurczę, najgorsza kiła. Nic nie chce działać, przeglądam przykłady od kumpli i nic. No nie da rady. Liczyłem, że dzisiaj będę miał najpóźniej tę książkę kupioną na *Allegro* (minął już prawie tydzień). W mordę, jak trzeba coś szybko wysłać pocztą,

to jest po prostu bankowe, że będzie co najmniej tygodniowa obsuwa. A tu koleś pisze, że nie dostał kasy, chociaż przelew zrobiłem onlajn jeszcze tego samego dnia. I wyślij mu teraz potwierdzenie z wirtualnego banku, skoro metody kryptograficzne u nas w powijakach! Trudno, nic się dzisiaj nie pchnie z tego K. Siadam do ostatniej laborki z elektry, trzeba się przygotować.

25 stycznia, wtorek

Zawijam jeszcze rano furą na Prusa po wpis z elektroniki. Akurat jest mój laborant, idę do niego. Pokazuje mi ostatnią kartkówkę, gdzieś tam się sypnąłem w rachunkach. Mówi mi coś, że źle zaokrągliłem. Człowieku, gadasz z matematykiem, daj, cholera, ten wpis i nie truj więcej, a moja noga tu już nie postanie. A wszystko to po to, żeby sobie doskrobać na tym pieprzonym wydziale trzy punkty do trzystu (sic!), które mam mieć za pierwsze studia. No dobra, wyciągnął listy. 4.5 wychodzi — mówi — ale... nie mam tu pana na listach, nie mogę dać wpisu, trzeba to wyjaśnić z wykładowcą. No tak, zajebicie, akurat nieźle namieszałem u tego koleśia na początku semestru, bo tamci z dziekanatu zlikwidowali jedyną pasującą mi grupę. Przez te cholerne 3 punkty już się minąłem z jednym terminem z wytrzymałki. Wykładowcę gdzieś wciąło, wreszcie przyszedł po godzinie. Kolejczka się już ustawiła. Koleś zaczął pytać jakąś laskę i to o rzeczy, o których nawet ja wiem, że ona ich nie umie. Rany boskie dałby nam wpis i mielibyśmy go z głowy. Kombinujemy z koleśiami, co by tu zrobić, żeby go wybić z ferworu pytania. Wpadam na pomysł, żeby nasłać na niego laboranta, to taka sierota, że jak mu powiem, że wykładowca przyszedł, to on zaraz do niego poleci wyjaśniać sprawę. Tak też jest w istocie. Niestety wykładowca nie dał się wybić z rytmu. Ale przynajmniej z laborantem sprawa załatwiona, jeden typ mniej do męczenia. W końcu wykładowca się opamiętuje i daje nam te wpisy. Jadę na polibudę, jeszcze mam nadzieję uda się skoczyć do R. przed laborką. R., to koleś z mechaniki i wytrzymałki. R. ostatnio zaczął kręcić. Najpierw zwolnił mnie z ćwiczeń, kazał zrobić projekt, a jak przyniosłem projekt, to kazał przyjść na koło. I bądź tu mądry i przyjmij jakąś strategię. Chociaż zobaczę, co z tym projektem. Oczywiście do R. jak zwykle wielka kolejka. Ale jakoś się załapałem przed laborką. Idę po laborce standardowo do K. Jeszcze nie zrobiłem tego, co trzeba, ale zawsze znajdzie

się na tej laborce ktoś, kto coś doradzi i posunie sprawę naprzód. Tak też jest i dzisiaj. Pojawia się T. Pytam się go jak mu idzie u K. Mówi, że już wszystko oddał i dostał wpis. Proszę go o programy, żebym mógł sobie chociaż popatrzeć. Podaje mi pamięć *flash*, ale mój laptop jej nie wykrywa. Zgrywamy na kompie laboratoryjnym. On musi już lecieć. Wszyscy na tym kierunku, ba! w tej całej instytucji ciągle tylko gdzieś biega. Ale mam już chociaż kanwę, na której mogę zacząć coś tworzyć. Jest OK. Jadę w chatę i siadam na serio do listy siódmej. K. zapytany przez mnie przed wyjściem, twardo utrzymywał, że trzeba oddać wszystkie dziewięć list. I tak mu nie wierzę. Kolesz musi zmięknąć inaczej trzeba będzie oblać 90% roku. Do klubu nie jadę, szkoda czasu. Jestem wkurzony, sypie śnieg, mało widzę przez szybę, jeszcze się gdzieś rozbiję. No i jeszcze ta obsuwa z tymi kamizelkami.² Dzisiaj w klubie mnie nie będzie. Co sobie o mnie pomyśli An.? Zadzwoń do matki, ona nie będzie tak beznadziejna jak ojciec. Jak mógł mnie tak zawieść. Napisać, że wysła, a potem nie wysłać i napisać, że uznał to za "nieważne". Na matkę wylewam wszystkie moje frustracje. Chyba za to, że nakłaniała mnie do ciągnięcia dalej tego mechanicznego. Siadam do *DTD* i *XML-a*. Nawet udało mi się zrobić tę siódmą listę z pomocą programów T. Idę spać.

26 stycznia, środa

Dzisiaj miałem definitywnie zrobić tego K. (definitywnie! ha, ha, K!), ale napisał do mnie wczoraj Ku., że nie wie, co z tym *Perlem* i chciałby się ze mną dzisiaj spotkać. W porządku, może się jeszcze coś dowiem. Pisać bez szczegółowego rozeznania w temacie cokolwiek do K., to czas z góry stracony. Biorę znowu kompa i na polibudę. Przy okazji wpadam na ostatni angielski. A tu "ćwiczymy, dzieci, gramatykę..", 140 zdań do przekształcenia. Cholera jasna, wziąłem ten ostatni język, żeby się jeszcze trochę rozgadać za free, a tu taka nędza! Dobrze, że to ostatni już angielski w tym semestrze, w tym roku, na studiach, w życiu. Dobrze. Ku. umówił się, ale nie przyszedł. Nie wiem, co jest grane, ale co to! Idzie (a w zasadzie biegnie) Kar., która teoretycznie miała siedzieć w Danii od pół roku. Zrobię jej psikusa i przestraszę ją, nie zauważyła mnie na razie. Buch! Zaczynamy pospiesznie rozmawiać,

²Nie mogłem niestety wiedzieć, że minie pół roku i już te kamizelki i tak nie będą nam potrzebne, bo definitywnie ściągniemy barwy.

wymieniać czułości. Ona biegnie gdzieś do dziekanatu z jakimiś bz-
durami, ale siadamy na ławce. Wyciągam kompa, pokazuję jej moją
pracę dyplomową. Ona patrzy trochę beznamiętnie, jest pochłonięta
swoimi problemami. A gdzie tu jest jakaś matematyka? — pyta. "Nie
ma żadnej" — myślę sobie, ale odpowiadam: "wiesz, zastosowania
logiki, rozumowania", choć logiki w tym nie ma nawet za grosz. Null,
zwykła tabelka i działa. Czemu działa? Dobre pytanie. Wymieni-
amy telefony. Ona obiecuje, że napisze do mnie esemesa³ i leci. A
niech leci — myślę sobie. Wszyscy tu, cholera, gdzieś lecą. Porąbany
świat. Akurat idzie K. do pracowni. Hmm, mam kompa, może by
tak oddać, to co zrobiłem? Zawsze to trochę z głowy, jutro przecież
ostatnia laborka. Oddaję dwie listy bez żadnych problemów, łącznie z
zaległą pierwszą, którą oddawałem przez pierwsze dwa miechy. Taki
jest właśnie K. Nieobliczalny. Łapie mnie Ku., jednak przyszedł. Pyta
mnie o *Perla*. Mówi, że u niego w grupie też kolesie twardo wszystko
egzekwują, chociaż niewiele z tego kumają. I pomyśleć, że na początku
semestru proponowali mi prowadzenie tej laborki! Z ofiary stałbym się
drapieżnikiem! Szkoda tylko, że w takim żalonym cyrku. Ku. prosi
mnie o przesłanie pierwszej listy, którą ostatecznie udało mi się dzisiaj
wcisnąć K. Potem korki. Kolesi okazuje się z matmy z pierwszego roku.
Fajnie, trochę rozruszam szare komórki. Ale dupa. Pyta o zadania ze
skryptu. I do tego te, które najczęściej tłumaczę. Powtarzam prawie
jak automat. Gość zwierza mi się, że nęci go ta matematyka finansowa.
Trzeba żeby sobie pogadał z Kar. i zapytał się jej, przez co przeszła.
Przez co wszyscy tutaj przeszliśmy. A on przed drugim kołem u Z. nie
umie najprostszycy całek. Jadę do chaty. Dzisiaj *dead line*. Muszę
skończyć te listy do K., bo jutro ostatnie zajęcia. Jest przeraźliwie
zimno, okrutnie, a ja dzisiaj nie wziąłem samochodu. Nie chciało mi
się go odsnieżyć trzeci dzień z rzędu. Bo sypie od trzech dni. Przy-
jeżdżam trochę późno, za dwie godziny jestem umówiony jeszcze na ko-
rki (po nocach, no niestety) ze statystyki tam gdzie ostatnio, do jednego
pracującego gościa. Zdażę tylko coś zjeść. Dochodzi 20-ta. Dreptam po
tym mrozie. Na jego klatce uświadamiam sobie jakim jestem wrakiem.
Po paru schodach i kwadransie marszu robi mi się słabo i gorąco na
przemies. A może znowu jestem chory? On wita mnie ciepłą zupą. To
zawsze takie miłe z jego strony, cwaniaka zresztą. Sam dopiero wró-

³ nigdy nie napisała, po takich obietnicach

cił z roboty. Chce coś zjeść, ale nie będzie tak jadł na moich oczach, więc jemy razem. Potem zaczynam mu tłumaczyć statystykę, chociaż nie ma specjalnie, jak się okazuje, pojęcia o prawdopodobieństwie. Po godzinie zaczynają mu się kleić powieki i to tak perfidnie, że musimy skończyć. Pytam się go, czy nie możemy się umówić o jakiejś ludzkiej godzinie. Nie możemy. W tygodniu pracuje do późna, a w weekendy musi gdzieś jeździć. Porąbany, kurna, świat. Biedak nawet nie mógł iść na egzamin, bo wylądował w szpitalu na jakiejś operacji. Wracam jest 22-ga. Mnie też już się kleją powieki, ale nic z tego, mój kochany, czeka cię długa noc. Walczę. Lista ósma przechodzi bez większego problemu dzięki przykładom od T. Z dziewiątą zaczyna się problem. Koleś kazał napisać parser z *LaTeX-a* do *MathML-a*. Na szczęście zmiękł i pozwolił na ściągnięcie czegoś z sieci i tylko zademonstrowanie jak działa. Nawet to jest problemem, niewiele tego, a jak już to płatne. Wreszcie natrafiam na coś po *UNIX-a*, *freeware'owego*. Ściągam. Niestety trzeba sobie samemu skompilować. Dwa tysiące pięćset linii kodu. A Krzywy na początku chciał, żebyśmy to napisali sami!!! Jako jedno zadanie, na jednej z dziewięciu list... Mój Boże, to jest psychopata... Kompiluję, ale są jakieś błędy w 1546 linii. Odruchowo patrzę w źródło, ale nic nie umiem poradzić. Niby *C*, ale jakieś takie dziwne, z dziwnymi znaczkami. Około drugiej udaje mi się znaleźć parser onlajn. Kiepski, bo kiepski, ale jakoś tam działa. Zwalam się w wyro.

27 stycznia, czwartek

Rano sprawdzam pocztę. Pisze rozżalony Ku., pisze o godzinie 6.48, że nie wysłałem mu tej pierwszej listy. Cholera, zapomniałem... Przepraszam go esemesem, ale on uspokaja, że właśnie już zaliczył. Dzisiaj z rana na elektrę oddać ostatnie sprawozdanie. Jest problem, ciekawe, czy M. łyknie to ostatnie. Skonstruowaliśmy tam dosłownie *perpetuum mobile*, takie bzdury wyszły. Coś nie łączyło na stykach i pomiar diabli wzięli. Jeżeli nie łyknie, trzeba będzie od razu sięść i odrabiać, dzisiaj ostatnie zajęcia, bo też ostatni dzień semestru. Iść wcześniej do niego do pokoju? Ktoś mówi, że przyjdzie do pracowni, no to czekamy. Jakiś koleś pyta się mnie, jakie wnioski napisać w ćwiczeniu trzecim. Mówię mu: "napisz coś o tym ekstremum krzywej *Lissajous*, jak je znalazłeś...". "Ale jakie wnioski?" on nie daje mi spokoju. "No, że ekstremum jest wyznaczone z dokładnością do sąsiednich pomiarów..."

"Jak? Ekstremum jest wyznaczone..." Boże, czemu tu tylu półgłówków na tym mechanicznym, nie wiedzą nawet, co zmierzyli... Jest koleś. Mówi, że nie wziął papierów z pokoju i żebyśmy przyszli za godzinę, jak skończy te pieprzone odróbki. I zajebicie. On skończy odróbki, a za godzinę mi powie, żebym odrobił to ćwiczenie... w przyszłym semestrze!!! No nie ma tu co stać, spadam. Idę na wyniki płynów. Zaliczyłem jednym punktem. Czysty totalotek, jak te pytania. Chcę wziąć wpis, ale babka nas wyprasza, bo musi uporządkować jakieś papiery. Świetnie, za pół godziny M. skończy te odróbki i zniknie, a ja zostanę z tym cholernym ostatnim sprawozdaniem. Rozmawiam z kolesiami, mówią o egzaminie z wytrzymałości, którego poprawka jest jutro. Że tak łatwo nie było. Rzucają jakimiś dziwnymi pojęciami i to z metaloznawstwa. Pieprzę, nie idę jutro. R. mówił, że się załatwi tę czwórkę (żeby było zwolnienie) "na twarz". Kurna, nie ufam mu już, ale nie pozostaje nic innego jak się nauczyć na tą rozmowę z R. Biorę w końcu wpis i wracam do M. Jeszcze nie skończył. No to idę po wpis z *data miningu*. Koleś jest, ale też biega jak poparzony gdzieś po instytucie. Każe poczekać. Wszyscy, qrwa, gdzieś biegną. Wracam po raz drugi do M. Skończył. Siedzi w swoim pokoju i oczywiście kolejczka. Przede mną ten koleś od krzywych *Lissajous* oddaje cztery zaległe sprawozdania (na sześć wszystkich). Siadam na posadzce. Wpada jakiś zawodnik i pyta się, czy my do Si. Nie, my do M. Bo on nie wie nawet jak ten Si. wygląda. Jeszcze dwa lata temu to bym wyśmiał kolesia, ale w tym semestrze sam miałem podobny problem. Wreszcie wchodzę, M. nie robi problemów, wychodzę z wpisem. Chciałem jeszcze iść na obiad, ale właśnie zaczynają się laborki K. K. to jest dzisiaj w ogóle problem numer jeden. Więc idę, tym bardziej, że o 15-tej umówiłem się z tym przyszłym finansistą na całki. Akurat leci laborka ze wstępu do programowania. Na szczęście K. jest wszystko jedno, kto siedzi. Brakuje już co prawda miejsc przy kompach, ale jakoś siadłem. Niby mam laptopa, ale potrzebuję net, żeby mu zademonstrować ten pieprzony parser. K. mnie ignoruje, ale OK, w końcu to jeszcze nie moja laborka. Jakaś dziewczyna prosi mnie, o wytłumaczenie jej programu. Jest na pierwszym roku matmy. Kurczę, gdyby wiedziała, co ją czeka. Patrząc w kod, przecieram zmęczone oczy. Po dłuższej chwili zaskakuję dopiero o co tam chodzi. No tak, to jest właśnie K. Tylko on potrafi wymyśleć taki dziwoląg, "wysumuj tablicę rekurencją". Zaczynam jej tłumaczyć. Nic. Za trzecim razem dalej nic nie rozumie, ale już coś

zapamiętała, zaczyna bezwiednie powtarzać. Widać, że się boi, walczy o zaliczenie. Wargi jej drżą. Pyta się, czy to dobrze powiedziała. Źle. W taki sposób K. ona nie przeskoczy. K. jest szczwany lis. W około zresztą podobna sytuacja. Zaczynam jej tłumaczyć gołą rekurencję na prostym przykładzie. Ale też mizernie. Obok K. pyta inną laskę. Po czym chamsko otwiera jej przed oczami na pulpicie kalkulator i wylicza średnią. Wychodzi pała. Na sali zaczyna się robić tłoczno, wchodzi po kolei kolesie, których gęby kojarzę z różnych grup. Co drugiemu na szyi dynda pamięć *flash*, kurde, sztych z epoki. K. zaczyna ich wypraszać. Po chwili wchodzi... no nie, mój student i prosi o wpis. K. zaczyna go wypraszać, gość mówi, że przyszedł do mnie po wpis. K. nie rozumie. W końcu mówię gościowi, żeby zostawił indeks i poczekał chwilę na zewnątrz, to mu przyniosę. Wpisuję mu ocenę. Dziewczyna robi duże oczy. Ze studenta przeobraziłem się w jednego z nich, tych zza drugiej strony barykady. Po chwili K. podchodzi do mojej. Na szczęście nie pyta się jej o rekurencję, chyba z litości, tylko o jakieś proste rzeczy. Wychodzi cała szczęśliwa, ale roztrzęsiona z trójką. Laborka dobiega końca, Krzywy idzie na przerwę. Wróci za pół godziny. Muszę, cholera, poczekać. Kolesz z korków też będzie musiał poczekać, uprzedzałem. Niestety to K. jest tutaj na szczycie łańcucha pokarmowego. Wreszcie wraca, ostentacyjnie patrzy na zegarek i czeka do 15 po. Chce nam pokazać, że trzyma porządek na zajęciach, chociaż robi się niemiłosierny młyn. Wpada kumpel z angola i wydziału zarazem i błaga mnie, żebym mu wydrukował sprawozdanie. Wtyka pamięć *flash* do gniazda *USB*. Wreszcie podchodzi do mnie łaskawie po dwóch godzinach K. i ... nie podoba mu się ostatnie zadanie. To najgorsze. Każe mi na piechotę napisać dokument o kilkudziesięciu liniach w języku, którego w końcu się nie nauczyłem. Jestem bliski rozpaczy. Rozbiłem się na ostatniej prostej! Chce mi się płakać. Złość połączona z bezsilnością zżera mnie od wewnątrz. Nagle przypominam sobie o liście od Ku., w którym... był... no właśnie! załącznik! Rzucam się do poczty. Tak jest! *Lagrange* w *MathML*! Jestem uratowany! Żeby tylko K. nie popatrzył w kod i nie drażył tematu... Próba ognia... Ale... spoko. Już wyciągnął listę i patrzy na oceny. Jestem zbawiony, uratowany. Ostatnie pieprzone gówno na tym kursie, ostatnia taka poj...ana laborka na tych studiach, chociaż, o ironio! nieobowiązkowa. Mój Boże, jak ja nisko upadłem, uwikłałem się w taki podły stosunek zależności, *mea culpa*... Ty debilu! Na korytarzu najtwardsze

mózgi gapią się w laptopy, walczą z parserami, laborka u K. trwa...
Ale ja znikam, może jeszcze załapię się na jakiś obiad, chociaż już
ciemno...(koleś z korków nie przyszedł). Jutro — nirwana. Pierwszy
dzień sesji.